

HARAKIRI

POLAKÓW W RFN

Z BONN KORESPONDUJE PIOTR CYWIŃSKI

W środowisku polskim w Niemczech nie ma zgody. Tak najkrócej można streścić przebieg spotkania z delegatkami senatu RP, Dorotą Simonides i Anną Skowrońską-Boğucką, które odbyło się we Wschodnioeuropejskim Centrum Kultury — „Ignis” w Kolonii. Celem tego spotkania było „zastanowienie się i przedyskutowanie najbardziej palących problemów polskiej obecności w Republice Federalnej Niemiec” oraz wymiana zdań o „losach Polaków, ich statusie prawnym, a także udziale w życiu politycznym i gospodarczym RFN, aktualnych możliwościach zachowania języka polskiego, obyczaju” itp. Tak głosiła krótka informacja, dołączona do zaproszenia. Owszem, dyskutowano. Jednak rozmowa ta daleka była od rzeczywistości, bliższa natomiast... jarmarcznej kłótni między przybyłymi „zainteresowanymi”.

„Zainteresowanych” — ujmuję w cudzysłów, bowiem zdecydowana większość przybyłych na to spotkanie przejawiała nie tyle troskę o losy całego środowiska polskiej emigracji w Niemczech, ile chęć załatwienia własnych porachunków, dokonania samosądu na niektórych starszych działaczach polonijnych, oskarżonych o „kolaborację z komuną”, wreszcie — nobilitacji swoich organizacji, które być może i aktywne na jakimś ograniczonym poltku programowym, zamiast dążyć do zjednoczenia niemieckich Polaków, podsycają ich rozłam i istniejące po-

działy. Senatorka Simonides z goryczą wyznała: „mam ze sobą całą torbę donosów, pisanych przez jednych na drugich i odwrotnie. Nie moim zadaniem jest czyszczenie organizacji z osób kontrowersyjnych. Tego musicie dokonać sami. Czy jednak nie potraficie znaleźć ze sobą wspólnego języka, czy potępiając jedną osobę musicie przekreślać niewątpliwą dorobek całej organizacji? Czy nie może powodować wami poczucie dziedzictwa historii, tradycji, ponad podziałami politycznymi?”.

Nie może. Przynajmniej dziś. Kolońskie spotkanie było tego kolejnym dowodem. Oberwało się wszystkim za wszystko, z szanownymi senatorkami włącznie. Zaczęło się od jednej ze starszych organizacji polskich w Niemczech — „Zgody”, a ściślej, od prezesa „Zgody” — pana Janika. Jego duch obecny jest przy wszelkich tego rodzaju okazjach. Zawsze w tym samym kontekście: kierowana przez niego grupa, to „kryptokomuna”, i „służba bezpieczeństwa”, „tajniacy”, „agenci” i „po-

grobowcy komunistycznego reżimu”. Tak chce widzieć i widzi „Zgodę” nowa polska emigracja w RFN. Uprzedzenie to jest na tyle silne, że przesłania wszelki dorobek „Zgody”, np. w dziedzinie kultury czy polskiej oświaty. W dniu, gdy w Paryżu Adam Michnik zasiada do rozmowy z Wojciechem Jaruzelskim, manifestując w ten sposób, wobec francuskich gospodarzy, twórcze pojednanie braci Polaków, polscy emigranci nad Renem wysyłają listy do kanclerza RFN Helmuta Kohla, by ten, podśmierdującej minioną epoką „Zgodzie”, odebrał budynki i w ogóle pomógł spuścić ją do ścieku. W nienawistnym oślepieniu emigranci, nazywający się „polskimi działaczami”, „przywalili” też nowo powstałemu Kongresowi Polonii Niemieckiej, w skład którego weszło dwadzieścia kilka innych organizacji. Skoro wlaź tam Janik ze „Zgodą”, (notabene, najliczniejszym polskim zrzeszeniem w RFN), musi wszyscy inni, z ugrupowaniami katolickimi i księdzem-prezesem „Kongresu” Jerzym Sobkowiakiem włącznie, to też pastuchy, a z takimi nie ma co gadać, lepiej od razu poderżnąć im gardła...

W Niemczech działa 116 polskich organizacji. Tak twierdzi senatorka Simonides. Większość z nich, to jednak figuranci „papierowi”, nie wykazujący się w rzeczywistości żadnym dorobkiem. Na wiele z nich składa się zaledwie po kilka osób na dodatek tych samych. Jeśli więc 116 podzielimy przez trzy — można śmiało przyjąć, że tyle właśnie polskich stowarzyszeń

różnej maści próbuje coś zrobić na rzecz 1,5-milionowej rzeszy rodaków w RFN. Próbuje, gdyż efekty, jak na razie, są bardzo mizerne. „Zgoda buduje — niezgoda rujnuje” — apelowały panie senatorki do sali. Bez echa. Bo oprócz wzajemnych polajanek i żalostnego wycia psa rasy bokser, wałęsającego się między stolikami — innego odzewu nie było. „Prawdziwi Polacy”, napadali na „nieprawdziwych”, „inteligenci na prostych i odwrotnie”, „solidarnościowcy” na „nie solidarnościowców”, a w ogóle to Simonides i Bogucka powinny przyjechać wcześniej i nie wiedzą, o co chodzi, tak samo jak minister Stelmachowski, który też był i też nic nie zrobił, więc nie wiadomo, po co był...

Polska tożsamość ma w Niemczech wydzźwięk pejoratywny. Końca sarmackich waśni nie widać. „Ja jestem Niemcem. Niemcem nie farbowanym, z niemieckimi papierami od urodzenia. I jako Niemiec powiem wam, że wasze kłótnie mnie przerażają, że wstyd mi za was wobec moich rodaków. Jeśli się nie zjednoczycie, nie oczekujcie, że będziecie inaczej traktowani niż jesteście” — wykrzyczał nerwowo na zakończenie kolońskiego sabatu, znany działacz tutejszego środowiska polskiego (sic), inspektor miejskich wodociągów z zawodu, a prywatnie mąż Polki, eks-mieszkancki Piły, Arno Giese. Nic dodać — nic ująć. No, może tylko to, że honor Polaków w Niemczech może dziś uratować chyba już tylko zbiorowe harakiri na przedkatedralnym placu...

GONIEC POMORSKI

20.05.1992